ŁAD BOŻY

TYGODNIK DLA RODZIN KATOLICKICH

Rok 8 — Nr 46 (350) Włocławek, 14 grudzień 1952 r. Cena 50 gr.

Zwiastun Pana

Ewangelia mówi o misji Przesłańca Jezusowego. Św. Jan zatopiony w modlitwie i kontemplacji, surowy dla siebie pustelnik oczekiwał natchnienia Bożego, aby ukazać się narodowi wybranemu i obwieścić mu spełnienie się jego oczekiwań. Wreszcie nastąpiła ta chwila i usłyszał głos, nakazujący mu wzywać wszystkich do pokuty, jako najlepszego przygotowania grzeszników na przyjście Króla wszelkiego stworzenia.

Przyjrzyjmy się warunkom, w jakich działał Przesłaniec Pana Jezusa. Są one bowiem tłem. na którym miała się niebawem rozwinąć publiczna działalność samego Pana Jezusa. Dzięki temu łatwiej zrozumiemy niejedno posunięcie Zbawiciela na arenie Jego apostolstwa i niejedno Jego odezwanie się nabierze w oczach naszych właściwego wyrazu.

Ewangelista, który nie znał dzisiejszego sposobu oznaczania jakiegoś zdarzenia historycznego, starał się przez wyliczenie władców ziemi palestyńskiej wskazać dokładnie miejsce w czasie i przestrzeni, na którym rozegrać się miała zbawcza misja Chrystusa Pana. Ziemia izraelska tworzy prowincję wielkiego Imperium Rzymskiego, które za cesarza Tyberiusza znajdowało się u szczytu potęgi. Oręż i dyplomacja potrafiły skutecznie ujarzmić cały szereg państw tak, że obszar Imperium wynosił około 3-ch milionów km kw. Granic jego strzegła silna, doskonała armia; porządek, ład i spokój zapewniała doskonała administracja. Rozbudowa i bezpieczeństwo dróg lądowych, rozwój floty morskiej i bezpieczeństwo szlaków wodnych przyczyniały się do rozwoju handlu i przemysłu, a wraz z tym do rozrostu portów i miast. Dobrobyt wzrósł niepomiernie, a wraz z nim rozwój nauki i sztuki. Stolica państwa — Rzym rozrósł się do niebywałych dotąd rozmiarów: liczył przeszło milion mieszkańców.



Chrzest Jezusa w Jordanie

1. **Stan obyczajowo-moralny Imperium Rzymskiego.**

A jednak w tym stanie potęgi, bogactwa i wysokiej cywilizacji państwo rzymskie przechodziło wewnętrzny kryzys, który z biegiem czasu doprowadził do jego upadku. Jednym z jego objawów, to upadek moralny, upadek we wszystkich warstwach. Warstwy „wyższe", żyjące w dobrobycie i bogactwach ogarnęła prawdziwa żądza użycia, przepychu, marnotrawstwa.., i to niszczyło w ich duszach wszelkie poczucie moralne. Warstwy „niższe", ubogie, ogarnęła pustka i beznadziejność, stąd niechęć do pracy, lenistwo, życie z dnia na dzień i nienasycona pogoń za widowiskami i zabawami. „Chleba i igrzysk" — wołali do możnych za swą uległość, poddanie i poparcie. Możni im tego nie żałowali. Hańbą ówczesne-

(Dokończenie na stronie 2-ej)

Oświadczenie Episkopatu

Episkopat Polski, zabierając głos w sprawach publicznych czyni to w duchu posłannictwa Kościoła, który zobowiązuje wiernych do przestrzegania wskazań moralności chrześcijańskiej, zarówno w życiu osobistym jak i społecznym.

Jak doniosła Polska Agencja Prasowa zostały ujawnione w Kurii Krakowskiej wykroczenia przeciwko obowiązującym przepisom walutowym, i toczy się śledztwo o udział niektórych pracowników Kurii w działalności wrogiej interesom Polski Rzeczypospolitej Ludowej.

Episkopat stwierdza, że udział katolików, a tym bardziej Duchowieństwa w akcji podziemnej i w dywersji gospodarczej jest nie tylko sprzeczny z dobrem Narodu, ale również szkodliwy dla działalności Kościoła katolickiego w Polsce.

Stwierdzając powyższe Episkopat zastrzega się również przeciwko tendencjom obcej propagandy, usiłującej uczynić Kościół w Polsce terenem i narzędziem politycznej działalności antypaństwowej.

Ta linia postępowania powinna obowiązywać wszystkich katolików, tak Duchownych jak i świeckich.

Kierując się tymi zasadami Episkopat poczuwa się do obowiązku współdziałania w umocnieniu moralności społecznej, tak niezbędnej dla niepodległości i dobrobytu Polski.

W imieniu Episkopatu

Biskup Zygmunt Choromański
Sekretarz Episkopatu

Warszawa, dn. 12.12.1952 r.

Zwiastun Pana

(Początek na stronie 1-ej)

go świata pogańskiego było niewolnictwo. Około 70% ludności — to ludzie niewoli: pozbawieni praw, traktowani jak rzecz, jak zwierzę robocze, przykuci do miejsca swojej pracy, żyjący nieraz w okropnych warunkach bytu i pracy. Stąd rozruchy, krwawo tłumione, były groźnym objawem dla państwa. Upadek rodzin, brak opieki nad dzieckiem, brak miłości, wzajemnego zaufania, bezkarność możnych, wyrządzanie krzywd, okrucieństwo, nienawiść, otrucia, zabójstwa, kult siły i pieniądza... oto obraz życia pogańskich Rzymian.

2. Stan religijny wśród pogan.

Do takiego stanu moralnego przyczynił się upadek religii pogańskiej. Religii właściwie nie było: było jedynie składanie ofiar bogom w świątyniach. Były to jednak bezduszne, formalne, suche obrzędy, zgodne z tradycją, oznaka lojalności wobec cesarza i tradycji państwa.

3. Położenie Izraelitów.

Naród izraelski znalazł się w zasięgu panowania Rzymian. Kraj izraelski, Palestyna, podzielony został na 4 części administracyjne, rządzone przez tetrarchów. Nad całością władał prokurator rzymski. Niewola rzymska ciążyła bardzo Izraelitom: cierpiała tu zarówno duma narodowa, jak i poczucie religijne Izraelitów. Choć pobici, byli nieprzejednani. Bronili swej niezależności, kultury narodowej i czystości wiary. Stąd opór przeciw ciężarom podatkowym, zarządzeniom władz, skargi, rozruchy itp. Oficjalnie Izraelici posiadali autonomię. Na czele stał senat tzw. Sanhedryn. Składał się z 71 członków. Przewodniczącym był najwyższy kapłan. Władza Sanhedrynu była bardzo ograniczona i podlegała kontroli władz rzymskich.

4. Stan religijny i moralny Izraelitów.

Pod względem religijno-moralnym Izraelici stali wyżej od pogan. Przywiązani byli do wiary w Jednego Boga, który kieruje losem narodu. Ale wiara nakazywała im nie tylko składać ofiary Bogu, ale i czcić Go przez dobre życie i unikanie grzechów. I tu jednak słabość ludzka zrobiła swoje: szczególnie po utracie niepodległości wiara i moralność Izraelitów stała się czysto zewnętrzna. Do wypaczenia czystych pojęć religijnych przyczyniły się pewne grupy społeczno-religijne, często ze sobą skłócone. Byli to pyszni faryzeusze, zepsuci saduceusze, fanatyczni pseudo-asceci esseńczycy, wreszcie herodianie tj. zwolennicy Heroda i okupacji rzymskiej. Jednakże w powodzi błędów i wypaczeń, obok grup skłóconych znalazły się również dusze wybrane, ci „prawdziwi Izraelczycy", którzy rozumieli ducha wiary, oni to pierwsi stanęli przy Chrystusie — nie dla względów politycznych, ale czysto religijnych.

5. Oczekiwanie.

Kryzys religijno-moralny połączony był z oczekiwaniem Mesjasza. Oczekiwali niecierpliwie, tęsknili za Nim. Myśl jednak o Mesjaszu też była wypaczona; przedstawiano Go sobie jako króla, który okryje chwałą państwo Izraela. Naciągano w tym celu teksty Pisma św. Niektórzy w gorączce oczekiwania dawali wyraz swej nienawiści do Rzymian, przepowiadając zemstę Mesjasza nad wrogami Izraela... (patrz Ps. 2, 20, 43).

6. Zwiastun Pana.

I właśnie w tym czasie nad brzegami Jordanu, niedaleko Morza Martwego zabrzmiał głos, który poruszył całą Palestyną. Był to głos Poprzednika Pana Jezusa, św. Jana Chrzciciela. Zapowiedziany był on przez proroków. Urodzony w cudownych okolicznościach (Łuk. 1, 3—2).

Powitany przez ojca, Zachariasza, hymnem proroczym (Łuk. 1, 68—80). Sam nazywał się skromnie: „Głos wołającego na puszczy" (Jan 1, 23). Wyglądał jak wielki asceta, odziany w sierść wielbłąda, przepasany paskiem rzemiennym. Za pokarm służyło mu to, co było na miejscu, na pustyni, szarańcza i miód leśny. Zbierali się ludzie dokoła niego, bo spragnieni byli głosu proroka. Tak dawno nie było proroków na izraelskiej ziemi!... Zebranym głosił Jan rychłe nadejście Mesjasza, przygotowywał na Jego przyjście, głosząc konieczność pokuty i odrodzenia duszy.

GRZECH PIERWORODNY

W związku z grzechem pierworodnym, karą za grzech i odkupieniem nasuwa się wiele wątpliwości i pytań:

Dlaczego Bóg dopuścił do upadku człowieka?

Dlaczego nie wybaczył, ale ukarał?

Dlaczego zażądał aż śmierci Syna swego?

Z chwilą, gdy Bóg obdarzył człowieka — na swoje podobieństwo inteligencją i wolną wolą, miał człowiek możność czynienia dobrze i źle. Wolność pozostała jednak zawsze darem wielkim, wywyższającym człowieka do godności obrazu Bożego i człowiek nigdy nie chciałby, aby dar ten został mu odebrany. Dlatego z powodu tego daru nie powinniśmy zanosić do Boga żalu, ale wyrażać swą wdzięczność i uwielbienie. Człowiek przytem, powołany do szczęścia, nie odczuwałby jego pełni, gdyby w zdobywaniu jego nie miał żadnej zasługi. „Szczęśliwy człowiek, który mógł zgrzeszyć, a nie zgrzeszył, źle czynić, a nie czynił". (Eccl. 31, 10).

Tym większe jest szczęście człowieka, im większa jest świadomość, że własnym wysiłkiem i własną wolną wolą przyczynił się do zdobycia tego, co Bóg mu ofiarował.

Ale nasuwa się pytanie: Dlaczego Bóg nie wybaczył, przez co okazałby swoją dobroć, swoje miłosierdzie? Dlaczego zastosował wobec swego przybranego dziecka surową karę?

Pewnie, po ludzku biorąc, mógłby Bóg występek przebaczyć. Pamiętajmy jednak, że Bóg jako Istota ze wszech miar najdoskonalsza, jest nie tylko Dobrocią Ojcowską, ale i Sprawiedliwością. Sprawiedliwość wymagała potępienia zła i ukarania. Przez wymiar kary pedagogia Boża uczy o świętości Boga i o godności człowieka, przeznaczonego do świętości. „Musi być podwyższony Syn Człowieczy, aby każdy, który wierzy weń, nie zginął, ale miał żywot wieczny". (Jan 3, 14—15).

Jednocześnie w tymże dziele Odkupienia jaśnieje najwyższym blaskiem dobroć Boża i miłosierdzie Boże, bo ofiarę za ludzkość składa słowo Boże, Syn Boży, który stał się Synem Człowieczym. „Tak Bóg umiłował świat, że Syna swego jednorodzonego dał, aby każdy, który wierzy weń, nie umarł, ale miał żywot wieczny". (Jan 3, 16). Dlatego Kościół w Wielką Sobotę śpiewa swą najwyższą radość, gdy Chrystus leży w grobie.

„O niewysławione umiłowanie miłosierdzia: aby sługę zbawić, Syna wydałeś... O szczęsnwa wino, któraś zasłużyła na takiego i tak wielkiego Odkupiciela, — a wierni — przywróceni zostali do łaski i świętości". (Exultet).

Jak ojca, który w trosce o szczęście dzieci zło karał i uczył dobrego przykładu, dobrego życia, poświęcając im swój trud, — dzieci z najgłębszą wdzięcznością i miłością wspominają i naśladują go, tak dzieło Odkupienia sprawia, że zastępy wiernych wybranych, olśnione dobrocią Bożą, dążą do świętości.

Kto a małą łaskę wdzięczności nie czuje,
I na większą taki też nie zasługuje.

Rodziszewska

SUMIENIE

Andrzej Nieczuły westchnął i zwrócił swą kościstą, żółtą twarz ku oknu, odcinającemu się jasnym kwadratem światła w wieczornym mroku. Oto znowu był sam. Czyż nikt nie zajrzy do pokoju? Chyba wiedzą, iż dni jego są policzone, jeśli on sam wie o tym... tylko... leży już tak długo, od szeregu tygodni, może więc... staje się zwolna... ciężarem?

— Błogosławione są chwile — pomyślał chory — kiedy zapadam w ten swój krótki, chorobowy sen. Nic wówczas nie dręczy — ni smutek, ni ból, ni osamotnienie. — I znów gorąco zapragnął snu, w którym pogrążony był nie dalej jak przed kwadransem. Naraz — oczy jego znieruchomiały. „Nie długo zapadnę w sen wieczysty" — zaszeptał, a na wyschłej twarzy ukazało się przerażenie.

Przez otwarte okno, u którego ram swawolił łagodny powiew wiatru poruszając firanki, wpłynął dźwięk wieczornego dzwonu; dzwoniono na Anioł Pański w pobliskim kościele.

Rozjaśnił twarz i począł odmawiać modlitwę. Ów dźwięczny głos dzwonów niesie wszak nadzieję, łączy się z tamtym światem na którego progu stoi i w który wejdzie niebawem... Nie są ukojeniem owe dzwony, zapowiadając życie dalsze po przebiegnięciu ziemskiej drogi? Trwoga, szarpiąca przed chwilą serce, ucisza się. Przymknął oczy.

— Z czym wejdziesz na ową drogę? Andrzej Nieczuły drgnął. Czy jest tu ktoś w pokoju, czy też własna jego myśl stała się tak głośna? Z czym wejdzie? Albo nie może wejść spokojnie? Nie uczynił wszak w swym życiu ni jednego występku, i, jak się zdaje, nie skrzywdził nikogo...

— Tak, tak — zaszeptał — ni jednego występku, a i krzywdy też nie. Zaś drobiazgi (któż jest wolny od drobiazgów?) nie liczy się...

— Wszystko się liczy! Na szalę dobra i zła rzuca się każdy okruch dobry i zły. Skrupulatnie waży się wszystkie postępki ludzkie. Biada, jeśli przeważy zło!

— Kto tu? — chory uniósł nieco głowę, spoglądając z przerażeniem na szarą postać przy swym łożu. — Ktoś ty?!

— Jestem sędzią ludzkiego serca — zaszemrał cichy, jak tchnienie głos. Zwą mnie „Sumienie". Towarzyszę ludziom przez całe ich życie, rzadko wszakże zdarza się taka chwila, kiedy mogłobym w serce ludzkie zapukać. Zwykle — nie chce ono słuchać, lub słucha ot tak sobie, na „odczepnego" i tak też postępuje. Do twego serca, Andrzeju Nieczuły, nadeszła sposobność dostania się doń dopiero teraz, kiedy życie twoje dopala się jak świeca, mająca zgasnąć za chwilę.

— Czego chcesz ode mnie?

— Przebiegłeś dopiero co życie swoje myślą, wglądając się w te i owe swe uczynki. Wołałeś mię, więc jestem!

Chory otarł pot z czoła i z silnie bijącym sercem szepnął:

— Proszę, pytaj...

— Nie, to raczej ty mnie pytaj. Przypominaj sobie i pytaj. Pomogę ci...

Przed oczyma Andrzeja Nieczułego zamajaczyła ładna, uśmiechnięta twarz młodego dziewczęcia. Wpatrując się weń, zadrżał. Oto uśmiech z twarzy dziewczyny znikł, oczy toną we łzach.

— Ta dziewczyna była nieszczęśliwą przez ciebie! Kochała cię... Porzuciłeś ją z lekkim sercem... Rozkochałeś i porzuciłeś...

— Wyszła przecież za mąż i jak się zdaje, była szczęśliwa...

— Nie była szczęśliwa! Wiedziałeś o tym, lecz aby mnie uspokoić, wmówiłeś to sobie! — powtórzyło z uporem Sumienie. — Była to istota łagodna i dobra, o niezmiernie wrażliwej naturze — cierpiała więcej, niż cierpiałaby inna. Łzy i żal, jakie towarzyszyły jej przez całe życie aż do zgonu, ciążą na twej szali zła...

Chory wzdrygnął się i zacisnął powieki. Lecz oto znów w niezmierzonej dalekości a równocześnie tuż, przed oczyma, rysuje się obraz inny — smutna twarz jego matki, okolona siwymi włosami.

— Powodziło ci się dobrze, mieszkanie twoje było piękne, rozległe, lecz dla matki przeznaczyłeś izdebkę maleńką, w której ledwo obrócić się mogła...

— Moja żona...

— Wiem, wiem, była bardzo kapryśna. Matki twej nie szanowała, uważając ją za kobietę prostą. Matka twoja często bywała smutna. Żal w twym sercu odezwał się dopiero wtedy, kiedy już nie żyła, kiedy niczego już naprawić nie było można. Biedna stara kobieta ostatnie swoje lata przeżyła w opuszczeniu, samotna, mimo domu pełnego gwaru. A tak wiele uczyniła dla ciebie — byłeś wszak małym kiedy odumarł cię ojciec i cały ciężar życia — wychowania i utrzymania ciebie i twego rodzeństwa — spoczął wyłącznie na matce. Pamiętasz, jak pracowała? Widywałeś ją często, kiedy przebudziłeś się śród głuchej nocy, schyloną nad igłą. Odmawiała sobie wszystkiego — jeden jedyny cienki płaszcz służył jej przez wiele lat, jedyna para butów łatana była ciągle — lecz wy posiadaliście ciepłe okrycia i nie, byliście nigdy głodni.

Chory westchnął znów ciężko. Było to westchnienie podobne do jęku.

— To prawda... Było tak jak mówisz... Dzięki jej wielkiemu poświęceniu i wielkiej miłości zdobyłem wykształcenie, pozycję w świecie... jakże mogłem zapomnieć, że prócz dostatku jaki był w mym domu, trzeba było biednej staruszce dać trochę ciepła... Serca...

— Stało się. A co się raz stanie, nigdy już odstać się nie może — wiesz o tym. Patrz dalej w zwierciadło przeszłości...

— Marcinek...

— Syn twego brata. Brat, umierając, prosił cię, abyś się zaopiekował malcem.

— Opiekowałem się przecież...

— Gorzka to była opieka. Ileż to razy dawałeś do zrozumienia chłopcu, że ci jest ciężarem. Chłopiec, który właściwie biedował bardzo i więcej bywał głodny jak syty, bo twoja żona zapominała o nim, był ambitny. Któregoś dnia po wymówce wyszedł i więcej nie wrócił. Znikł bez śladu. Nie bardzo trudziłeś się, aby go odnaleźć.

— Próbowałem przecież... Zgłosiłem, gdzie trzeba...

— Przyznaj, że w głębi duszy byłeś rad, że poszedł sobie z twego domu. To tylko babcia, twoja matka, skrycie przed wami wypłakiwała oczy za wnukiem. Ile razy szczęknęły drzwi, nadsłuchiwała ze drżeniem: „Może to powrócił Marcinek?"

— Gdyby wrócił, opiekowałbym się nim nadal...

— Nie wrócił. Nie miał już kto potem donaszać twoich starych ubrań i starych butów. Uspokoiłeś się tym, że przecież przez wiele lat był w twym domu i tym samym wiele zrobiłeś dla niego... Zapomniałeś jeszcze o jednym...

— Czyż nie skończysz?

— Nie, musisz wysłuchać wszystkiego. Zapomniałeś rozmyślnie o wielkim talencie muzycznym, jaki Marcinek posiadał. Zmarnowałeś jego zdolności, szydziłeś zeń nawet. Żona twoja była jeszcze okrutniejsza. Chłopcu nie wolno było tknąć fortepianu, rzekomo dlateg, że zakłóciłby spokój...

Bolesne, ciężkie łzy pociekły z ócz Andrzeja Nieczułego. Usta jego szeptały:

— Miniony czas nie wróci... Nie wróci...

E. Drz.

Powrót Błażeja Tudor

Nad normandzkim niebem zawisły ciężkie, ołowiane chmury. Północny wiatr dął z siłą huraganu, siekąc strugami deszczu. Trwający od przeszło tygodnia sztorm posiał smutek w osiedlu rybackim. Łodzie omiatane bryzgami fal bezczynnie kołysały się w zaciszu portu. Głód zaglądał do niejednej chaty, a rybacy nie mogli wyruszyć na połów.

Wreszcie dłużej niepodobna było już czekać. Ten i ów z rybaków — przeważnie co młodszy — opatrywał z determinacją swój skołatany szkuner, próbował wytrzymałości skośnych żagli na porywistym wietrze, ładował na rufę sieci i mimo burzliwej pogody sposobiono się do wyjścia na morze. W sobotę o świcie, kiedy zdawało się, że siła wiatru słabnie, rybacy pojechali.

Pojechał z nimi młody Blaise Tudor, zwany w osadzie „czarnym Błażejem". Odprowadzała go zapłakana, niespokojna matka — zatroskana o niepewne losy ryzykownej wyprawy. Męża straciła przed laty. Pochłonęło go nieubłagane morze. Pozostał jej tylko „czarny Błażej", o którego lękała się, aby go nie utracić.

A on, jej jedyny Błażej, zdawał się nie dostrzegać matki. Iskrzącymi oczyma wyszukiwał na przystani innej twarzy — twarzy młodziutkiej Joanny o błękitnych jak pogodne morze oczach. Kiedy już siadał na rufie szkunera i mocował się z podniesieniem grot — żagla — dojrzał nareszcie Joannę. Oto stała przyczajona po drugiej stronie przystani i lękliwie, jakby ukradkiem, żegnała go ruchem dłoni. Odpowiedział jej takim samym znakiem i oparty o rękojeść steru patrzył w jej stronę, póki gwałtowniejszy podmuch wichru nie położył szkunera na prawej burcie. Trzeba było walczyć z żywiołem. Wkrótce spienione fale zakryły przystań i patrzących za odjeżdżającymi ludzi.

Matka Tudor długo stała skroś wichru i deszczu. Z ręką podniesioną do oczu śledziła majaczące w dali kontury statków. Jeszcze widziała wierzchołki fok-masztów. Wreszcie i te zginęły, rozpłynęły się w majaku chmur, rozbełtanych fal i dżdżu.

Zziębnięta, na wskroś przemokła poruszyła się wreszcie, zrobiła długi znak krzyża nad spienionym morzem i zawróciła do chaty. Na brzegu przystani, gdzie stała maleńka kapliczka św. Mikołaja, patrona żeglarzy, matka Tudor natknęła się na bladą, zapłakaną Joannę. Dziewczyna na jej widok rzuciła się do ucieczki. Stara podniosła za nią zaciśniętą pięść.

— Poczekaj, ty dziewko! Ja cię dostanę jeszcze!...

Chciała zakląć, ale zagryzła tylko wargi, aby Boga nie obrazić. Skierowała się do kościółka na skraju osady, gdzie już schodziły się rybaczki aby wysłuchać Mszy świętej za pomyślność wyprawy. Kapłan, siwy staruszek, wyszedł ze Mszą św. Popłynęły szepty modlitw za tych, co teraz na morzu walczyli z falami i złym wichrem.

Stara Tudor nie mogła się skupić. Chciała się modlić, a nie potrafiła. Spotkanie z Joanną wzburzyło ją do

głębi. Wydało jej się, że jest najnieszczęśliwszą z matek.

Jedno tylko miała dziecko, tego Błażeja i — opętała go ta „dziewka", jak nazywała w myślach Joannę. Wprawdzie urodziwa była nad podziw, ale też nie posiadała nic więcej. Sierota, przybłęda Bóg wie skąd, tułała się. I ta nędzarka śmiała zawrócić w głowie jej synowi, rybakowi — który miał własną chatę, piękny szkuner i dostatni sprzęt rybacki! Matka Tudor pragnęła dla syna innej żony, — posażnej i jak mawiała „z dobrego domu". Obiecywała sobie bardzo wiele, roiła różne plany, a tu masz taki los! Diabeł skusił tego Błażeja, że zadurzył się w takiej nędzarce. I nie tylko, że zadurzył się, ale dopuścili się oboje czegoś więcej... Joanna chyba będzie mieć dziecko... tak wszyscy mielą jęzorami w osadzie. Jego dziecko — Błażeja! Czekaj, ty... ty...

Stara żuła najstraszliwsze obelgi na dziewczynę, obmyślała zemstę. Ale przecież opamiętała się, że jest w kościółku. Szloch targnął jej piersią. Upadła na kamienną posadzkę i łzami przepraszała Boga za złe myśli. Powoli uspakajała się.

Kiedy podniosła głowę, wzrok jej dojrzał tuż obok ołtarza zapłakaną twarzyczkę Joanny. Dziewczyna była zatopiona w modlitwie, a blada twarz, okolona wianuszkiem złocistych włosów, wydawała się jeszcze piękniejszą.

Jakiś spokój spłynął do serca matki Tudor. Po raz pierwszy patrzyła bez złości, bez gniewu, na Joannę. Coś, jakby wyrzut, ugryzło ją pod sercem, że przez tak długi czas prześladowała tę biedną dziewczynę, że nie pozwalała synowi poślubić jej, że z fanatycznym uporem stawała w poprzek ich szczęścia.

Jeszcze żarliwiej poczęła się modlić. Pomyślała, że gdy Błażej wróci z połowów — pobłogosławi już chyba tej ich miłości i powita Joanne jako synową.

Lecz w tej samej chwili straszliwa myśl wylęgła się w mózgu.

— A jeśli Błażej nie wróci? Jeżeli zginie, jak zginął jego ojciec i starsi bracia?... Co wówczas będzie z tą biedną dziewczyną?...

I jasno już uzmysłowiła sobie, że na nią spada wyłącznie cały ciężar odpowiedzialności za dziewczęcą tragedię. Ona bowiem nie dozwalała na związek dwojga młodych, ona przysięgała Joannie zemstę i starczą pięścią wygrażała jej przy każdym spotkaniu...

Po nabożeństwie, smagana rozszalałym wichrem, zatrzymała się przed kościółkiem. Czekała na Joannę z jakimś nowym i nagłym postanowieniem. Dziewczyna wychodziła ostatnia. Dojrzawszy matkę Tudor, zrobiła ruch jakby chciała uciekać. Ale stara łagodnie ujęła ją za rękę i przycisnęła do piersi.

— Przebacz, Joanno... Jeśli Błażej wróci, będziesz moim drugim dzieckiem... I ty — i to maleństwo, które przyjdzie na świat...

Odwróciła się raptownie, aby ukryć wzruszenie. Puściła dłoń dziewczyny i wstydząc się swej słabości odeszła szybkim krokiem w stronę chaty.

A w chacie wiało pustką i milczeniem. Nie było dla kogo warzyć strawy, nie było nikogo by zamienić choć słowo. Matka Tudor zapatrzyła się w umęczoną twarz Chrystusa na szczerniałym krzyżu i powierzając Mu swój ból modliła się długo w noc.

Następnego dnia wszystkie rybaczki ciągnęły do portu, aby wypatrywać rychłoli zobaczą ponad grzbietami zbełtanych fal maszty powracających szkunerów. Wiatr osłabł znacznie, rozkołysane jednak morze pieniło się i kotłowało w dalszym ciągu. Długo wyglądały daremnie, wreszcie około południa matką Tudor pierwsza dostrzegła powracającą flotyllę. Okrzyk radości wydarł się z piersi kobiet.

Lecz długo jeszcze musiano czekać, zanim statki zdołały zbliżyć się do portu. Rozdąsane fale zdawały się igrać z rybackimi łupinami, rzucały nimi po garbach spienionej kipieli, — myślałbyś, że nie dopłyną do brzegu. A jednak człowiek silniejszy jest od rozszalałego żywiołu, da radę wiatrom i burzy — i jeśli sam nie zginie w odmętach, odniesie zwycięstwo.

Kobiety liczyły:

— Jeden, dwa, trzy...

W morze wyruszyło dwadzieścia szkunerów. Czy aby wszystkie wracają? Tak, nie mylą się — jest tylko dziewiętnaście. Jeden musiał zatonąć... Ale czyj?... Matka Tudor zamarła, jak żona Lota zmieniona w słup soli. Jej oczy poznały już dawno... To brak łodzi Błażeja! Już nie zobaczy jedynego syna... Pochłonęło go na zawsze okrutne morze...

Przybiły statki do mola. Cumowano łodzie, wynoszono bogaty połów i potargane przez burzę sieci. Do matki Tudor nie podchodził nikt... Wiedzieli wszyscy, Błażeja szkuner zatonął...

Wreszcie mały port rybacki opustoszał zupełnie. Zmęczeni i przemoczeni rybacy grzali się już przy ogniskach chat. Jeno skroś zapadającego wcześnie zmroku sterczała niema postać matki Błażeja. U jej stóp szlochała bezsilna Joanna. A morze wyło, jakby na urągowisko rozpaczy ludzkiej. Białe mewy kwiliły żałośnie.

Noc już była kiedy ocknęła się wreszcie z odrętwienia matka Tudor. Pieszczotliwym ruchem objęła Joannę i ciągnęła za sobą.

— Córko moja... pójdźmy do chaty... Błażej już nie wróci... Ty będziesz moim dzieckiem... Bóg nas pocieszy!...

Przytulone do siebie weszły do milczącej, zimnej chaty. Przed obrazem Madonny z Lourdes płonął migotliwy płomyczek lampki oliwnej. Chrystus rzeźbiony ręką normandzkiego rybaka konał na drzewie krzyża...

Niewiasty zaczęły się modlić. W modlitwie usiłowały znaleźć pociechę i zapomnienie.

Minęły trzy długie dni, które bólem żałoby spowiły chatę matki Tudor. Joanna nie płakała już, bo zdawało się, że zbrakło jej łez. W całej osadzie żałowano wesołego, poczciwego Błażeja, który miał podzielić tragiczny los ojca i braci.

Czwartego dnia o wczesnym świtaniu do mola maleńkiego portu rybackiego przybił pękaty holownik z Calais. Grupa marynarzy z pośpiechem zdążała w stronę osady. Marynarze prowadzili pod ręce mężczyznę w ubraniu rybackim i skórzanej zjujwestce na głowie. Ludzie z zaciekawieniem wybiegli z chat.

— Patrzcie! Prowadzą Błażeja Tudor! Ależ to Błażej!... Zdołał się uratować!

Rzeczywiście był to Błażej — żywy i zdrowy, jedynie trochę osłabiony po przebytej kąpieli w falach niegościnnego morza. Uratowany został przez załogę holownika z Calais, przepływającego w czasie burzy w pobliżu miejsca, gdzie zatonął rybacki szkuner.

Szczęście jasnym słońcem zabłysło w chacie matki Tudor i Joanny.

Krzysztof Bernard Caban.

Zdrowaś Maryjo...

Piękną jest liturgja kościelna w czasie adwentowym. Po Panu Jezusie pierwszą osobą w nabożeństwach adwentowych jest Najświętsza Maryja Panna, Ona zostając Matką przyobiecanego Mesjasza, pierwsza wiedziała o rychłym Jego przyjściu. Ona stała się współpracowniczką Syna swego w dziele Odkupienia ludzkości.

W czasie adwentowym w kościołach naszych odprawiana jest wczesnym rankiem uroczysta Msza święta o Matce Boskiej zwana „Roratami". Na ołtarzu pali się wtedy siódma świeca, ozdobiona błękitną wstęgą, symbol „Gwiazdy zarannej". Przypomina ta świeca osobę Niepokalanej Panienki Maryi. We Mszy św. roratniej kapłan śpiewa Ewangelię o Zwiastowaniu Matce Najświętszej przez Archanioła Gabriela narodzenie Zbawiciela świata, Jezusa Chrystusa.

Tę wielką i radosną chwilę Zwiastowania rozważamy w modlitwie „Zdrowaś Maryjo", zwanej „Pozdrowieniem Anielskim". Jest ona najpiękniejszą modlitwą do Najświętszej Maryi Panny, i składa się z trzech części: 1) pozdrowienia Archanioła Gabriela, 2) pozdrowienia św. Elżbiety i 3) modlitwy Kościoła świętego.

W modlitwie „Zdrowaś Maryjo" wielbimy i błagamy o orędownictwo Tę, która jest Matką Chrystusową i którą Zbawiciel ustanowił także naszą Matką, gdy na krzyżu rzekł uczniowi: „Oto Matka twoja". (Jan 19, 27).

Archanioł Gabriel w czasie Zwiastowania pozdrowił Matkę Najśw. słowami: „Zdrowaś Maryjo, łaski pełna, Pan z Tobą, błogosławionaś Ty między niewiastami". W imieniu Boga pozdrawia Archanioł Gabriel Niepokalaną Dziewicę. Choć bowiem była „poślubiona mężowi", w panieństwie trwała, gdyż na chwałę Bożą ślub czystości uczyniła. Za Aniołem Pańskim powtarzamy i my te słowa, tak, że wznoszą się one do stóp Matki Bożej wiele milionów razy dziennie.

„Łaski pełna" rzekł jeszcze Anioł. Słowa te wyrażają, że Najświętsza Maryja Panna za szczególniejszym przywilejem Bożym była wolną od grzechu pierworodnego i przez Ducha Świętego obdarzona została wieloma łaskami. Od wieków była przeznaczna na Matkę Zbawiciela. Dzięki temu była otoczona taką opieką i tak tajemniczym działaniem Ducha Świętego, jak żaden Anioł, ani żaden Święty Pański przed Nią ani po Niej. Ona jedyna z ludzi nie popełniła w całym swym życiu nawet najmniejszego grzechu powszedniego.

Słowa: „Pan z Tobą" wyrażają, że Pan Bóg jest najściślej złączony z Maryją Dziewicą, jako Matką Jezusa Chrystusa. Pan Bóg jest ze wszystkimi ludźmi, którzy pełnią wolę Jego, ale z Maryją jest w sposób szczególnie nadprzyrodzony. Pozwolił Jej bowiem począć Tego, który, jak mówi św. Piotr: „Nosi świat cały; porodziła Tego, który daje życie; karmiła Tego, który karmi stworzenia wszystkie". Po śmierci zaś wziął Jezus do nieba nie tylko Jej duszę, ale i Jej ciało, a Ona stała się Królową Aniołów i Wszystkich Świętych.

Archanioł Gabriel kończy swe pozdrowienie Maryi słowami: „Błogosławionaś Ty między niewiastami" zaznaczając, że Najświętsza Maryja Panna, jako Matka Syna Bożego, przewyższa swoją godnością wszystkie niewiasty i dlatego niebo i ziemia po wszystkie wieki chwalić będą Jej imię. Bo Matka Boża dała świat Zbawiciela. Wyzwoliła przez to świat od klątwy grzechu pierworodnego. Toteż błogosławią Ją i wysławiają Aniołowie i Święci Pańscy, i ludzie. Błogosławiła Ją i Boskiego Jej Syna wkrótce już po Zwiastowaniu Anielskim św. Elżbieta, matka św. Jana Chrzciciela, „napełniona Duchem Świętym", która przybywającą Maryję powitała słowami: „Błogosławionaś Ty między niewiastami i błogosławion Owoc żywota Twego". (Łuk. 1, 41).

Widzimy tedy, że pierwsza i druga część modlitwy, zwanej Pozdrowieniem Anielskim, zostały dosłownie wypowiedziane przez wysłanników niebios.

Trzecią część przed wielu wiekami dodał Kościół święty. W tej to części zwracamy się do Matki Bożej z błaganiem o pomoc i orędownictwo: „Święta Maryjo, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi, teraz, i w godzinę śmierci naszej. Amen". Jak dziecię, które, gdy zawini, chroni się pod opiekę matki przed słusznym gniewem ojca, tak i my z największą ufnością i miłością prosimy o wstawiennictwo Matki Najświętszej. Prosimy Ją, by była nam Opiekunką i Matką przez całe nasze ziemskie życie, a szczególnie w godzinę śmierci. Bo „nie masz w Niej nic surowszego, nic straszliwego, wszystka jest łaskawa i dobra" — mówi św. Bernard, wielki czciciel Matki Najświętszej. I mówi jeszcze: „Od wieków nie słyszano, aby ktoś, uciekający się pod Twoją obronę... został od Ciebie kiedy opuszczony". Dlatego, jako Jej dobre dzieci, uciekajmy się do Niej z całą ufnością i pozdrawiajmy Ją jak najczęściej słowami: „Zdrowaś Maryjo!"

Nie ustawajmy przeto w modłach o pomoc Maryi i potrzebach duszy i ciała naszego. Prośmy Ją o wytrwanie w dobrym i o łaski nam potrzebne do życia codziennego. Starajmy się naśladować Jej cnoty, którymi Ona oznaczała się za życia ziemskiego.

Ona jest naszą najlepszą Matką. Nie odmówi nigdy naszym prośbom. Nie ustawajmy więc w modłach do Niej — Niepokalanej — do Jej Macierzyńskiego Serca. Ona pomocy nam nigdy nie odmówi. Przeprowadzi nas szczęśliwie przez to ziemskie życie, a w godzinę śmierci naszej okaże się Najlepszą Matką i zaprowadzi nas do Syna swojego w niebie.

Marian Jamrozik.

LEKCJA i EWANGELIA

na czwartą niedzielę Adwentu

(1 do Koryntian 4, 1—5)

Bracia: Tak niechaj każdy nas uważa za sługi Chrystusa i włodarzy Bożych tajemnic. A od włodarzy już tu żąda tego, aby każdy z nich okazał się wiernym. Wszakże co do mnie, najmniejsza to rzecz, czy będę przez was sądzony, czy przez sąd ludzki, nawet zresztą samego siebie nie sądzę. Do niczego się bowiem nie poczuwam, ale przez to nie jestem usprawiedliwiony, gdyż sądzią moim jest Pan, który ujawni zamysły serc: a wtedy każdy znajdzie pochwałę u Boga.

(Św. Łukasz 3, 1—6)

Roku piętnastego panowania Tyberiusza, gdy Piłat Poncjusz zarządzał Judeą i Herod był tetrarchą Galilei, a Filip, brat jego, tetrarchą Iturei i krainy Trachonickiej, gdy Lizaniasz był tetrarchą Abileny, za najwyższych kapłanów Annasza i Kajfasza stało się słowo Pańskie do Jana, Zachariaszowego syna, na pustyni. I przyszedł do całej krainy Jordanu głosząc chrzest pokuty na odpuszczenie grzechów; jako napisano w księdze mów Izajasza Proroka: Głos wołającego na pustyni: Gotujcie drogę Pańską, torujcie ścieżki Jego. Wszelka dolina będzie wypełniona i każda góra i wzniesienie zniżone będą. Krzywe drogi staną się proste, a ostre wygładzone będą i każdy człowiek ujrzy zbawienie Boże. (Iz. 40, 3—5).

Jak zdobyć szczęście?

Zdarza się, że w ciemnościach elektrycznie oświetlonego miasta, dwie osoby na siebie wpadają wzajemnie się rozbijając; jedna z nich śmiechem wybucha, druga klnie i odchodzi z miną zagniewaną nietylko na magistrat, ale na świat cały. Sytuacja dla obu osób jednakowa, reagowanie zupełnie inne. Otóż w ciągu dnia, ileż mamy takich drobnych przykrości, które odbiły się lekko od naszego dobrego usposobienia, a wtłaczają się jak szpilki w nasz zły humor.

Szczęśliwe usposobienie, oto tajemnica szczęścia.

Bajka wschodnia powiada, że Kalif, wielki władca muzułmanów, trapiony był raz dziwną chorobą. Zjechali do Bagdadu co najsławniejsi doktorzy radzić, jakby go wyleczyć. Myśleli długo, wreszcie orzekli, że Kalifa jedno uratować zdoła: oto niech przywdzieje na siebie koszulę człowieka szczęśliwego. Rozbiegli się dworzanie po całym państwie rozległym na poszukiwania. Zachodzili do ludzi bogatych, sławnych, dostojnych, zachodzili do młodych, pięknych, zdrowych i pytali: „Jesteście szczęśliwi? — dajcie koszulę, która ma uratować Kalifa". Lecz wszędzie słyszeli jedną odpowiedź: „Nie, nie jesteśmy szczęśliwymi". Pomartwili się bardzo dworzanie, gdyż pana swego szczerze kochali. Smutni więc, wracają ku pałacowi, aż tu słyszą, gdzieś z odległego pastwiska dobiega piosnka taka radosna, że aż im w duszy poweselało. Biegną co żywo do pastuszka i z nadzieją skrytą pytają: „Jesteś szczęśliwy? — „O, i jak jeszcze", brzmi śmiała odpowiedź. „Dajże więc koszulę, wołają ucieszeni, uratujesz Kalifa". „Chciałbym bardzo, odpowie chłopiec, ale nie mam koszuli, nie stać mnie na to".

Chłopak tak ubogi, że nawet koszuli nie posiadał był szczęśliwy, bo miał szczęśliwe usposobienie. Na czym ono polega? — Szczęśliwe usposobienie jest to umiejętność **widzenia jasnych stron życia i zdolność radości.**

Doprawdy bywają osoby, które nie potrafią się martwić, jak bywają potworne osoby, które nie potrafią się cieszyć. Ludzie, powiada poeta, szczęścia szukają dokoła, tam gdzie nigdy nie bywa.

Trwonią życia dzień jasny
Na zabiegi i żale,
Tylko w piersi swej własnej
Nie szukają go wcale.

Szczęśliwe usposobienie w dużej mierze zależy od temperamentu, jest skarbem natury, ale kto go z przyrodzenia nie posiada, może go zdobyć, można skierowywać uwagę na te drobne jasne chwile, których w życiu mnóstwo, a przechodzą niespostrzegane.

L. J.

Kto umie za jedno dobrodziejstwo być wdzięcznym, ten ich więcej otrzyma.

Seneka

Kto świadczy dobrodziejstwo, aby za nie otrzymać wdzięczność, ten jest handlarzem, nie dobroczyńcą.

Dobry człowiek i wtedy okazuje wdzięczność, gdy już od swego dobroczyńcy więcej spodziewać się nie może.

Religia Chrystusowa nakazuje dobrem za złe oddawać, tym bardziej dobrem za dobre, wdzięcznością za dobrodziejstwo,

Grati estote! powiedział św. Paweł.

Gedankien.

DLA KOBIET

Największa miłość

Matka — to najpiękniejsze, najbardziej zaszczytne ze wszystkich słów, a miłość macierzyńska jest tak czysta i wzniosła, że Boski Zbawiciel rozkosze tej miłości przedstawił nam jako obraz szczęścia niebiańskiego w wieczności. „Serce twe — powiedział Chrystus — rozraduje się jako serce matki, a nikt nie wydrze tej miłości". Nie ma na świecie uczucia wznioślejszego, piękniejszego i bardziej bezinteresownego, skłonniejszego do najofiarniejszych poświęceń — niźli miłość macierzyńska.

Gdy Bóg chciał zwrócić do siebie dusze błądzące, wołał w Starym Testamencie: „Pójdźcie do mnie! Jako matka pieści i pociesza swe jedyne dzieciątko, ja was tak pocieszę i ja was nosić i karmić będę, na mym łonie, na mych kolanach jako matka" (Izaj. 66, 12—14).

Pismo św. w ogóle miłość macierzyńską podaje jako odbicie miłości Boga do rodzaju ludzkiego i Jego troskliwości o nas. Miłość macierzyńska jest obrazem miłości naszego Odkupiciela do ludzi.

W uczuciu macierzyńskim tkwi pierwiastek Boski. Serce matki jest najpiękniejszym dziełem rąk Boga, a wypływające z tego serca uczucie pochodzi z dobroci nieskończonej Stwórcy.

Miłość macierzyńską sławią najgłośniejsi pisarze całego świata, podnosząc bezgraniczne poświęcenie matki, zapominającej o sobie w obliczu niebezpieczeństwa zagrażającego jej dziecięciu, gotowej życie własne położyć dla ocalenia swego maleństwa.

Piotr de Coulevain w książce p. t. „Nieznana wyspa" opisuje balladę Richepina nazwaną „La Glu". Ta ballada doskonale i w sposób może najbardziej wymowny charakteryzuje duszę i serce matki. Posłuchajmy jej!

Oto kochanek obawiając się, by nie utracić pięknej Glu, na jej żądanie zabija matkę, wydziera matczyne serce i niesie je okrutnej kochance. Lecz biegnąc w pośpiechu, upada na kamienistej drodze i upuszcza serce. I oto słychać, jak ono — to serce matki — tocząc się w pyle drogi, mówi głosem pełnym łez i tkliwości:

— Czy aby nie zrobiłeś sobie co złego, moje dziecko?...

A znakomity pisarz francuski Guy de Maupassant w noweli zatytułowanej „Silna jak śmierć" tak pisze o miłości matczynej:

„Matkę kocha się prawie bezwiednie, nie zdając sobie sprawy, bo to przecież tak naturalne, jak życie samo. I człowiek nawet nie dostrzega jak głęboko sięgają korzenie tej miłości — aż dopiero w chwili rozłąki ostatniej"...

Jeden z pisarzy niemieckich ubiegłego stulecia mówił o matce:

„Matka jest to owa słaba i wątła istota, cudownym przywilejem ściśle złączona z Bogiem i wybrana do noszenia w swym łonie, do karmienia swym mlekiem istot tajemniczych, przeznaczona do posiadania tegoż Boga w chwale Jego wieczności. Piękną jest i świętą korona macierzyńskiej godności, korona z niebios pochodząca. Bóg sam ją składa na czole matki i nic nie przyćmiewa jej blasku. Zapytaj matki, czy zamieniłaby swoje szczęśliwe macierzyństwo na jakiekolwiek zaszczyty i łaski"?

Krzysztof Bernard Caban

Tysiąclecie Awicenny - lekarza i filozofa

Wszystkie narody cywilizowane, doceniające dorobek wielkich uczonych i myślicieli w dziedzinie kultury ogólnoludzkiej, obchodzą w roku bieżącym tysiączną rocznicę urodzin Awicenny, największego z lekarzy i filozofów Wschodu. Jest to przede wszystkim jubileusz kultury świata arabskiego, ze względu jednak na genialność epokowych osiągnięć naukowych Awicenny oraz rolę, jaką odegrały zdobycze jego twórczości w kształtowaniu się i rozwoju nauk filozoficznych i przyrodniczych — a zwłaszcza medycyny, rocznicę tę obchodzą wszystkie narody cywilizowane.

Kto to był Awicenna?

Awicenna był Persem, a ściślej mówiąc synem narodu tadżyckiego. Urodził się w Bucharze, stolicy państwa o tej samej nazwie, które do historii przeszło jako starożytne państwo Samanidów.

Prawdziwe nazwisko Awicenny, używane do dziś na całym Wschodzie, brzmi Abu-Ali-Husejn-ibn-Sina. Uczeni średniowieczni, którzy dokonywali w Europie licznych tłumaczeń jego dzieł lekarskich i filozoficznych, nadali wyrazom Ibn-Sina (syn Siny) brzmienie najpierw Awen-Sena, a później zlatynizowano je na Awicenna.

Mając lat 18 młody Husejn zgłębił już dokładnie filozofię Arystotelesa, opanował zasób ówczesnych nauk przyrodniczych i medycznych — zyskując sobie sławę najlepszego lekarza w Bucharze. W tym czasie zachorował ciężko emir Noe Mansur, władca państwa Samanidów, a kiedy lekarze nadworni okazali się bezradni, wezwano do łoża emira Awicennę. Młodzieniec wkrótce wyleczył emira, a kiedy władca chciał go obdarować złotem i godnościami, Ibn-Sina poprosił skromnie tylko o jedno:

— Pozwól mi, panie, korzystać z książek w twojej bogatej i słynnej bibliotece. Chcę zgłębić nauki, których jeszcze nie znam...

I Husejn czerpał z bogatych zbiorów królewskiej biblioteki stawiając sobie za cel werset arabski: **„Jeśli chcesz znaleźć Prawdę i Mądrość, szukaj nauki od kolebki aż do grobu".**

Spokojne lata tego „szukania nauki" i prowadzenia badawczych prac w zakresie nauk przyrodniczych przerywa Awicennie śmierć ojca, a następnie w roku 1001 najazd wojenny, który kładzie kres państwu Samanidów. 24-letni filozof i lekarz z ugruntowaną już sławą opuszcza rodzinną Bucharę aby do niej już nigdy nie wrócić. Udaje się najpierw do Chorezmu, gdzie przebywało podówczas wielu wybitnych uczonych, jak np. późniejszy słynny astronom Biruni. Zagrożony przez szacha — satrapę Mahmuda z Gazmy puszcza się na dalszą tułaczkę do Iranu, gdzie znajduje przytułek na dworze księcia Hamadanu. Tutaj młody uczony rozwija intensywną pracę twórczą. Po wielu uwieńczonych powodzeniem badaniach anatomicznych i medycznych pisze szereg wybitnych prac z zakresu postępowej medycyny i farmakologii. Jako pierwszy lekarz na świecie zaleca stosowanie diety, sportu i kąpieli słonecznych. Wprowadza filtrowanie wody do picia i uczy stosowania zasad higieny.

Co ludzkość zawdzięcza Awicennie i jaki jest jego dorobek naukowy?

Twórczość wielkiego uczonego Wschodu jest imponująco rozległa i niezwykle bogata. Wyraża się ona liczbą ponad 1.500 różnych prac i rozpraw w językach irańskim i arabskim z dziedziny filozofii, astronomii, fizyki, matematyki, językoznawstwa i takich nauk przyrodniczych, jak: geologia, mineralogia i medycyna.

Najważniejsze dzieło filozoficzne, to 18-tomowa „Księga uzdrowienia duszy", po arabsku „Kitab asz-szifa", stanowiąca istną encyklopedię filozoficzną i będąca po dziś dzień przedmiotem badań i rozważań. Awicenna jako filozof pozostawał pod wyraźnym wpływem Arystotelesa, częściowo także hołdował neoplatonizmowi. Jednak mimo tych niewątpliwie silnych wpływów wnikliwy umysł bucharskiego myśliciela potrafił dokonać wielu całkiem nowych osiągnięć o znaczeniu epokowym.

Największą jednak sławę i rozgłos na miarę światową zdobył Awicenna swym „Kanonem medycznym" (Kanun fit-tibb), pomnikowym dziełem z zakresu lecznictwa, napisanym w 32 roku życia. Wyprzedzając o całe stulecia europejskich uczonych, Awicenna stworzył prawdziwą encyklopedię lekarską, książkę — która przetłumaczona w 200 lat po jej napisaniu na łacinę — stała się głównym i nieodzownym podręcznikiem studentów ówczesnych akademii lekarskich nie tylko na Wschodzie, ale i w całej Europie, gdzie jej autora nie nazywano inaczej jak „princeps medicorum" — książę lekarzy. W Polsce „Kanon medyczny" wykładany był na Akademii Krakowskiej aż do czasu reformy Kołłątajowskiej pod koniec XVIII wieku. Dochowały się także liczne egzemplarze łacińskich tłumaczeń dzieł Awicenny, które można oglądać na wystawie starodruków w Bibliotece Uniwersyteckiej w Warszawie.

Awiceniański „Kanon", aczkolwiek pisany bez mała tysiąc lat temu, stanowił aż do naszych czasów przebogatą kopalnię wiedzy medycznej i farmakologicznej. W dziele tym, zamykającym całokształt żmudnych dociekań i badań

lekarskich, Awicenna dał najwierniejszy opis anatomiczny człowieka (m. in. mięśni podtrzymujących oko), opisał szczegółowo objawy takich schorzeń i chorób, jak: zapalenie opon mózgowych, wrzody żołądka, zapalenie płcu, choroby serca, zapoznał ludzkość z t. zw. cesarskim cięciem przy komplikacjach porodowych, wprowadził zasady psychoterapii itd.

„Kanon medycyny" to encyklopedia i podręcznik naukowy takich dziedzin, jak: anatomia i fizjologia człowieka, psychologia, chirurgia, farmakologia, hydroterapia, kosmetyka i higiena.

Po śmierci Awicenny na przestrzeni wieków dzieła wielkiego filozofa i lekarza przechodziły różne koleje losu. Szereg rękopisów zaginęło, wiele zgorzało w płomieniach spalone z rozkazu zacofanego kalifa z Bagdadu. Fanatycy muzułmańscy chcieli zniszczyć dorobek Awicenny. Ale znaleźli się ludzie, którzy stanęli temu na przeszkodzie. Taki np. sułtan Muhammed Tugłuk w Indiach płacił za rękopisy Awicenny zawrotne sumy, a za samą „Księgę uzdrowienia duszy" kazał wydać ze skarbca taką ilość złota, która przekraczała dziesięciokrotnie wagę rękopisu. W Europie w XVI w. Medyceusze rzymscy wykupywali przywiezione ze Wschodu dzieła Awicenny i drukowali w języku łacińskim. Prawie trzy czwarte ogółu rękopisów, tj. około 1.500 skryptów, przechowywane jest obecnie w bibliotekach Konstantynopola.

Na Wschodzie wielki bucharczyk zyskał u potomnych — obok nazwy „księcia medycyny" — także zaszczytny przydomek „dowód prawdy". Bo Awicenna, aczkolwiek urodzony i wychowany w ciasnych ramach islamu potrafił wznieść się swym genialnym umysłem poza krępujące go ramy, a szukając prawdy „od kolebki aż do grobu" twórczym dorobkiem całego życia przyczynił się chlubnie do wzniesienia fundamentów gmachu kultury ogólnoludzkiej.

Odbudowa kościołów

Znamy wszyscy dobrze zniszczenia jakich dokonała ostatnia wojna. Dotknęła ona również i świątynie wraz z ich wewnętrznym uposażeniem. Na istniejące przed wojną 64 kościoły warszawskie okupant hitlerowski zniszczył prawie doszczętnie 55. W innych miastach polskich jak Wrocław, Gdańsk zostały obrócone w gruzy przepiękne okazy architektury kościelnej.

Z chwilą organizowania państwowości i życia religijnego rozpoczęły się starania nad odbudową zniszczonych świątyń. Jeszcze w 1945 roku władze państwowe przeznaczyły na odbudowę świątyń na terenach zachodnich sumę 28 milionów złotych.

W roku 1946 dotacje Państwa na te cele doszły do sumy 82 milionów złotych.

W latach 1945—1949 na odbudowę kościołów ze skarbu Państwa wypłacono 500,890,759 zł.

Ze szczególnym rozmachem ginęły gruzy dawnych kościołów warszawskich. Społeczny Fundusz Odbudowy Stolicy w roku 1951 przeznaczył na te cele około miliona złotych.

Ogółem państwową akcją pomocy w odbudowie oraz ratowaniu i zabezpieczeniu zabytków architektury sakralnej objęte było w latach 1945—1951 510 świątyń, począwszy od wielkich budowli katedralnych, a kończąc na licznych wiejskich kościołach i kaplicach drewnianych — cennych zabytkach polskiej sztuki ludowej.

Trudno wyrobić sobie pełny obraz wysiłku, jaki został podjęty w tej dziedzinie po wojnie. Obok obiektów objętych pomocą Państwa, liczne świątynie zostały odbudowane dzięki ofiarnemu wysiłkowi wiernych, duchowieństwa i władz kościelnych.

Prawie wszystkie kościoły warszawskie zostały już odbudowane. Są to mianowicie: 26 kościołów zabytkowych, 16 niezabytkowych i 10 nowych, których budowę rozpoczęto przed wojną. Odbudowano katedrę św. Jana, wykończono już prawie najstarszą świątynię Warszawy pod wezwaniem Najświętszej Maryi Panny.

W zeszłym roku prasa szeroko doniosła o uroczystym otwarciu katedry wrocławskiej.

Sprawny i należycie rozbudowany aparat konserwatorski roztoczył nadzór nad wszystkimi zabytkami na terenie całej Polski, dzięki czemu fachową opieką otoczono 4,341 kościołów zabytkowych. Przyniosło to wiele pięknych odkryć i powiększyło znacznie stan naszej wiedzy w dziedzinie historii sztuki.

Współdziałanie w tej dziedzinie władz państwowych i kościelnych pozwoliło uratować cenne zabytki sztuki przed zniszczeniem i udostępnić świątynie dla służby Bożej.

CHCIWIEC

(Legenda ludowa szwedzka)

Żył raz pewien niezamożny kmiotek, obdarzony liczną rodziną. Był tak biedny, że na przednówku z powodu braku zboża, żywił się grzybami i bedłkami. Nieszczęśliwy udawał się po zapomogę do zamożnego sąsiada, ale prócz szorstkiej odmowy, nic więcej nie zyskiwał; prosił nawet o miarkę zboża na odrobek, ale też na próżno. Strapiony odmową, powlókł się znowu do lasu, szukał bedłek, bo już późną jesienią grzybów nie było.

Razu pewnego zajęty szukaniem nędznego pożywienia dla siebie i rodziny, spostrzegł idącego lasem dziwnie pięknego staruszka, (był to anioł Boży, ale go kmiotek nie poznał). Biedak ukryty w gęstwinie, widział, jak starzec, przyszedłszy do pobliskiej skały, zapukał, mówiąc: „Drzwiczki, drzwiczki, otwórzcie się!" Jakoż ukryte drzwi otworzyły się, staruszek wszedł, a drzwiczki zatrzasnęły się za nim. Po chwili wyszedł i pomału udał się w stronę z której przybył.

Zaciekawiony chłopek zbliżył się wtedy do owej skały i pukając, wyszeptał: „Drzwiczki, drzwiczki, otwórzcie się". I, o dziwo, drzwi otwarły się! Wszedł głębiej i stanął osłupiały, obaczył bowiem w jaskini niezmierne bogactwa i usłyszał głos: „Bierz, ile chcesz, ale nie waż się przychodzić tu powtórnie". Zdjął tedy z siebie kapotę i nagarnął w nią tyle bogactw, ile zdołał unieść.

Słońce już zaszło, zmrok zapadł, gdy przyszedł do domu, a nie umiejąc policzyć skarbów przyniesionych inaczej, jak przy pomocy miarki, której nie miał, wstąpił do sąsiada, by ją pożyczyć. Sąsiad pożyczył mu chętnie tej miarki; uczynił to jednak nie tyle z dobrego serca, ile raczej z ciekawości, myśląc sobie: „Skąd ten nędzarz mógł dostać zboża? dowiem się, gdy mi miarę odniesie". Nazajutrz zdziwił się bardzo, gdy ostukawszy przyniesioną miarę, czy nie wyleci z niej jakie ziarnko zboża, spostrzegł wypadającego ze szpary złotego dukata. Domyślił się tedy, że biedny jego sąsiad znalazł jakiś skarb. Chociaż był bardzo bogaty, to jednocześnie chciwy, i za wszelką cenę chciał się dowiedzieć, skąd ów ubogi kmiotek ma tyle złota. Zręcznie wybadał go, aż wreszcie otwarcie upokorzył się przed biednym sąsiadem i prosił go o wskazanie mu miejsca, gdzie są owe ukryte skarby.

Biedak milczał, przejęty trwogą z powodu zakazu, jaki usłyszał w jaskini, aż znudzony naleganiem wyznał, gdzie znalazł ów skarb, lecz powiedział też, że ani on więcej tam nie pójdzie, ani też nikomu nie radzi tam chodzić. Nie pomogły jednak prośby i tłumaczenia biedaka. Żądny bogactw sąsiad tak mu się narzucał, aż wreszcie biedak wskazał mu zaklęte miejsce w lesie.

Rozpromieniony chciwiec zabrawszy ze sobą dużo worów i worków, na owe skarby, stanął przy skale i śmiało zawołał: „Drzwiczki, otwórzcie się". Drzwi uchyliły się. Wszedł, co prędzej do wnętrza, lecz na wstępie struchlał z przerażenia, bo na niezmiernych skarbach leżał rozciągnięty czarny pies i przemówił doń ludzkim głosem: „Czy mało wczoraj nabrałeś pieniędzy? Czy nie mówiłem ci, abyś tu więcej nie przychodził?" Chciwiec przeraził się. W trwodze wielkiej zwrócił się ku drzwiom, z myślą o ucieczce, ale znalazł je zamknięte. Trwoga zamieniła się w rozpacz... Czarny pies z przeraźliwym wyciem rzucił się ku niemu, a jaskinia wraz ze skarbami i skąpym sąsiadem zapadła się w ziemię.

W. B.

CZY WIECIE, ŻE...

Bardzo dobre wyniki w leczeniu zawału mięśnia sercowego daje czeski preparat Pellenten. Hamuje on proces krzepnięcia krwi. Możliwość wyleczenia istnieje po rocznym stosowaniu tego leku.

Tuberkulinę, wydzielaną przez prątki Kocha, otrzymał po raz pierwszy Polak Odon Bujwid.

W połowach ławic sardynek stosuje się aparaty, które rejestrują echo dźwięków, rozchodzących się w wodzie. Jak wiadomo dźwięki rozchodzą się w wodzie z szybkością około cztery razy większą, niż w powietrzu. Dźwięk, wychodzący ze źródła dźwięku, znajdującego się na statku, dociera do ławicy ryb, odbija się i wraca jako echo podwodne. Z czasu, który upłynie od nadania sygnału do odbioru jego echa, łatwo obliczyć odległość ławicy ryb.

Ludzie wdzięczni są jak urodzajne pole, które więcej oddaje, niż przy zasiewie otrzymało.

Gedanklen.

Wydawca: Włocławska Kuria Diecezjalna
Redaktor: Ks. Stanisław Piotrowski
Redakcja i Administracja: Włocławek
ul. Waryńskiego 4. Tel. 16-49.
Zamówienia na prenumeratę przyjmuje P.P.K. „Ruch" Bydgoszcz. ul. Curie Skłodowskiej II barak. Konto PKO VI-231/110. Prenumerata z przesyłką pocztową kwartalnie zł 6.—, półroczna zł 12.—, roczna zł 24.—
WZPT Zakł. 10, Włocławek, Waryńskiego 4. Papier druk. mat. 60 gr. kl. VII. format 61x86. Nr zam. 551 — 11.11.52 — E-3-11301 — 13.150
Druk ukończono 24.12.52



Święty Saba

Saba urodził się w r. 439 niedaleko Cezarei w Kapadocji.

Postanowił osiąść w klasztorze, co też uczynił. Rychło zasłynął prawdziwie wielką świętością.

Wkrótce otrzymał od swych przełożonych upoważnienie do odwiedzenia świętych miejsc w Palestynie i osiedlenia się tam. Saba zapoznał się najpierw z regułą pustelniczą w jednym z klasztorów Jerozolimy, następnie rzuca Jerozolimę i szuka dla siebie innego miejsca, bardziej jeszcze oddalonego od ludzi.

W klasztarze pozostaje Saba do trzydziestego roku życia — następnie otrzymuje pozwolenie na osiedlenie się w pustelni i przebywanie tam w samotności. I znów rozpoczyna życie pełne jeszcze cięższych umartwień. W niedużej jaskini pięć dni tygodnia przepędza poświęcając czas modlitwie, śpiewaniu psalmów i pracy fizycznej. Wyplatał dziesięć koszy dziennie, tak że w sobotę pięćdziesiąt odstawiał do klasztoru. Przez niedzielę pozostawał z braćmi aż do wieczora.

Po śmierci świętego Eutymiusza opuścił Saba pustynię i udał się na wzgórze, gdzie wznosiła się stara twierdza. Stamtąd dojrzał przepiękne miejsce, zeszedł i zamieszkał w grocie, która znajdowała się nad strumieniem. Aby wciągnąć dla siebie żywność i wodę, Saba przygotował odpowiednią linę z pętlą, która opadała do stóp skały i służyła do podnoszenia ciężarów.

Samotne ustronie Saby zaczęło z czasem ściągać tłumy odwiedzających, które oglądały w skupieniu ten wzór świętego życia i czerpały ze skarbu, jego natchnionej niebawem mądrości.

Widząc rosnącą z dnia na dzień liczbę swych uczniów Saba przeniósł się na prawy brzeg Cedronu, gdzie znajdował się szereg jaskiń. Obszerną grotę zamienił na kościół. Przychodził do niej jeden z okolicznych kapłanów, by odprawiać Mszę św., bowiem Saba miał tak wysokie mniemanie o godności kapłańskiej, że uchylał się od jej przyjęcia. Liczba pustelników wzrastała stale, wkrótce zajętych było 150 miejsc w jaskiniach po obu brzegach rzeki.

Zdarzyło się, że wśród pustelników zaczęło się szerzyć niezadowolenie. Zwrócono się nawet do patriarchy jerozolimskiego Sallustiusza z żądaniem, by przeznaczył dla nich zwierzchnika mniej surowego i bardziej oświeconego. Patriarcha, znający zasługi świętego udał, że uznaje ich wywody i wezwał go do siebie wraz z jego współtowarzyszami.

Sługa Boży, nie wiedząc o co chodzi, udał się na czele swych wyznawców do patriarchy. Do zgromadzonych przemówił patriarcha wskazując, że natchnieniem Ducha Św., Sabę ustanawia jako przełożonego. Patriarcha oprowadził ich do klasztoru i poświęcił kościół, który święty wybudował. Było to w roku 492. Wkrótce ten sam patriarcha mianował Sabę generalnym supriorem pustelników swej diecezji, podczas gdy swemu przyjacielowi, świętemu Teodozjuszowi, powierzył troskę o wszystkich zakonników, którzy żyli wspólnie. Obydwaj byli prawdziwymi opiekunami i najlepszymi przyjaciółmi pustelników.

Coraz bardziej rosła liczba tych, którzy gromadzili się obok świętego.

Niewielka grupa pustelników postanowiła zrzucić z siebie władzę Saby i oderwać innych pustelników od władzy przeora. Saba dowiedziawszy się o ich tajemnych knowaniach sam się oddalił mówiąc: „Trzeba walczyć z szatanami, a nie opierać się ludziom".

Udał się w okolice Transjordanii. Wszedł do jaskini i znużony głęboko zasnął. Tymczasem miejsce to było jaskinią lwa, który wrócił za chwilę i znalazłszy nieoczekiwanego gościa wyciągnął go za poły sukni, jakby prosząc w ten sposób o opuszczenie lwiego mieszkania. Legenda mówi, że Saba obudził się i nie przerażony obecnością straszliwego towarzysza począł śpiewać hymny.

Lew zdawał się szanować modlitwę i oczekiwał u wejścia jaskini, kiedy modlitwa zostanie ukończona. Gdy modlitwa przeciągała się zbyt długo, lew znów pociągnął zakonnika za suknię. Wówczas Saba odpowiedział ze słodyczą: „Jaskinia jest dosyć obszerna dla mnie i dla ciebie, możemy mieszkać w niej obaj. Jeżeli ci moja obecność niewygodna, poszukaj innego mieszkania, ponieważ jestem stworzony na obraz i podobieństwo Boga i nie powinienem ustępować ci miejsca". Lew zdawał się rozumieć, bo odszedł i zamieszkał w innej grocie.

Po kilku latach nieobecności, gdy zbuntowani mnisi nie poprawili się, a nawet zyskali zwolenników, Saba postanowił przybyć do Jerozolimy i wziąć udział w uroczystościach poświęcenia Grobu św. Buntownicy rozszerzyli pogłoskę, że ich dawny przełożony został pożarty przez lwa i prosili o wyznaczenie innego na jego miejsce. Władza pospieszyła ich uspokoić polecając im wystąpienie, jeżeli nie chcą uznać powagi założyciela.

I tak się też stało. Gdy sam Saba ogłaszał list patriarchy pustelników, sześćdziesięciu odmówiło posłuszeństwa i wystąpiło. Później poruszeni szlachetnością swego zwierzchnika powrócili.

Gdy Saba załatwił sprawy, pospieszył do klasztoru, gdyż czuł, że zbliża się godzina jego zgonu. Zdawszy sprawę ze swego poslannictwa patriarsze jerozolimskiemu udał się, by umrzeć wśród swych braci. Wkrótce zapadł na zdrowiu. Patriarcha przybył go odwiedzić i zobaczył, jakie ubóstwo panowało w jego celi. Polecił go przenieść do siebie, aby zapewnić mu wygody. Święty zgodził się przez posłuszeństwo, lecz za parę dni, gdy widział, że zbliża się koniec, prosił, by go odnieść do celi, gdzie zmarł na rękach swych braci 5 grudnia 532 roku, w wieku 94 lat.

W.